

JERZY S. WASILEWSKI

Etnolog w podróży

Ludzie tajgi, ludzie rena, ludzie...

1.

„... W szamańskiej jurcie panuje mrok. Jakaś skulona postać – może to żona, a może młody pomocnik szamana – trzyma ponad stłumionymi płomieniami ogniska masywny krąg jego bębna. On sam siedzi nieco w głębi, za sobą mając figurki bóstw domowego ołtarzyka. Oczy przymknięte, (...) słychać ciche mruczenie modlitwy. Nagle podnosi się, chwytając bęben, uderza weń na próbę – nie, dźwięk nie jest jeszcze odpowiednio donośny, cały dzień padał deszcz i skóra na obręczy zupełnie zwilgotniała, trzeba ją długo suszyć. Siedzący po obu stronach obserwują go w napięciu...”¹.

Kiedy przed ćwierćwieczem tymi słowami zaczynałem swoje studium szamanizmu, nie miałem nadziei, że scenę taką zobaczę kiedyś na własne oczy. Za dużo zmieniło się od czasów Feliksa Kona i innych autorów z przełomu XIX i XX wieku, na relacjach których opierałem swe opisy. W syberyjsko-mongolskim pasie tajgi i stepu pojawił się system, który zmiotł albo zmodyfikował archaiczne sposoby bytowania, zamieniał szałas, namioty i jurty na drewniane baraki i domki, pasterzy przerabiał na kolchoźników-aktorzystów, a szamanów likwidował. Tymczasem na początku XXI wieku powtarza się przed moimi oczami prastary obraz: szamański seans, odbywający się w ciasnym szałasie dla grupki pasterzy. Szaman wygląda tak samo jak wtedy: ma identyczny kostium, tak samo kiwa się i mruży, podobnie na początku jego córka dosusza nad ogniem bęben – bo dzisiaj padało tak samo jak wtedy; nic dziwnego, Sajany Wschodnie to góry, w których stale pada.

Tuwijczycy-Caatanowie z północnej Mongolii zatorczyli pełny krąg – powrócili do wypasu reniferów, do życia w jurtach i szałasach, a także do szamanizmu.

Jesteśmy na obrzeżach Kotliny Darchackiej, która zawsze nosiła miano krainy szamanów. Przepląta tu rzeka Sziszchid, która dalej będzie się nazywać Jenisej – to już prawie koniec świata, a my pojedziemy konno jeszcze dalej, na północ od ostatniej stałej osady Caga-

an Nuur, ku granicy z Rosją, a ściślej z południowosyberyjską Tuwą. Ta ziemia nosiła niegdyś nazwę Kraju Urianchajskiego. Była obszarem rywalizacji Rosji i Chin na tym odcinku ich wielkiej gry o hegemonię w Azji, gdzie szło o przeciągnięcie Mongolii z osi azjatyckiej na europejską. Granice nigdy nie były tu jasne – stąd m.in. wzięła się wielość mylących nazw, nadawanym mieszkańcom leśno-stepowego pogranicza przez Mongołów, Rosjan i Chińczyków: Urianchaj, Sojot, Tuwa (w miejscowej wymowie Tucha), Ujgur, Caatan. Właśnie pod tą ostatnią, mongolską nazwą, oznaczającą „ludzi rena”, są dziś najlepiej znani, choć sami przyjmują ją niechętnie. Caatanowie nie są bowiem ludem mongolskim, lecz tureckim: to rodowici Tuwijczycy, którzy ze swej ojczyzny uciekli do Mongolii całkiem niedawno, bo dopiero przed półwiekiem.

Mało kto pamięta, że do 1944 roku istniało takie państwo jak Republika Tuwy – pseudonipodległy bufor między ZSRR a Mongolią – będące poniekąd obszarem interesów dwóch dalekowschodnich konkurentów, Chin i Japonii. Niepodległość to była zaiste symboliczna – sprowadzała się do własnych znaczków pocztowych (trójkąty i romby, przedstawiające pasterzy i dojarki przy owcach, krowach i wielbłądach). Kiedy pod koniec wojny Stalin ostatecznie przyłączył Tuwę do ZSRR, zaczął się głód i wcielenia do armii. Pasterze ze znaczków zaczęli uciekać przez granicę, a najłatwiej było to zrobić małym grupkom hodowców reniferów, którzy już wcześniej penetrowali górskie pogranicze.

Po paru latach przymusowych powrotów i powtarzanych ucieczek kilkuset Tuwijczykom pozwolono zostać w Mongolii, w 1956 roku przyznano obywatelstwo, a później rozpoczęto politykę adaptacji, która przerodziła się w akulturację czy wręcz asymilację. Koczowniczych pasterzy osiedlono, część z nich przemieniono w rybaków i pracowników technicznych kombinatu rybnego, przy czym warto przypomnieć, że ani oni, ani Mongołowie w zasadzie nie łowili i nie jedli dotąd ryb.

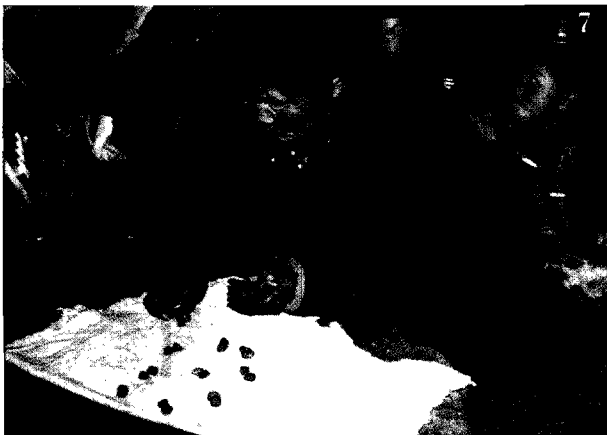
Leśna kultura była czymś wstydliwym dla postępowej władzy, a już szczególnym kamieniem obrazy był dla niej pierwotny szamanizm. Pewnie dlatego niechętnie pozwalano cudzoziemskim badaczom odwiedzać te okolice, czego sami doświadczyliśmy, przyjeżdżając tu z ekspedycją PAN przed ćwierćwieczem. Wygoniły nas oskarżenia, że jesteśmy agentami wywiadu pracującymi za japońskie pieniądze i podejrzliwość stróżów, widzących nas w nocy przy świecach – najwidoczniej w ukryciu wywoływaliśmy szpiegowskie negatywy filmowe.

Wydarzenia lat 90. zmieniły nie do poznania mentalność lokalnych decydentów. Ten przygraniczny obszar otworzył się nie tylko dla badaczy i turystów, ale dla wszystkich fortunnych i niefortunnych konsekwencji przeobrażeń systemowych. Kombinat rybný nareszcie zbankrutował (skoro nikt nie jadł ryb), kolchoz reniferowy rozwiązano, zdążywszy przed prywatyzacją



1. Sajany - wyjazd po drzewo.
Fot. Lech Mróz
2. Atarma żona Delgermagnaja
na reniferze. Fot. Lech Mróz
3. Batzaja wyrusza na polowanie.
Fot. Lech Mróz
4. Stado wróciło z pastwiska.
Fot. Jerzy S. Wasilewski
5. Staruszka przed szałasem.
Fot. Lech Mróz





6. Sujaan w seansie szamańskim. Fot. Lech Mróz
7. Na wpół niewidoma Cend wróży z 41 kamieni.
Fot. Lech Mróz
8. Początek szamańskiego seansu. Gandzorig przed
wyobrażeniami duchów opiekuńczych.
Fot. Jerzy S. Wasilewski

wyróżnić więcej niż połowę stada, znikły środki na dofinansowanie hodowli, na budowę domów i zagród, na pomoc weterynaryjną, na szkolnictwo.

W tych warunkach zaczyna się nieuchronny regres do tradycji jako jedynej możliwej formy przetrwania. Do życia znów muszą wystarczyć kryte podziurawionym brezentem szalaśy, niewielkie – po 20-40 sztuk na rodzinę – stada reniferów, skromne produkty tajgi jako dodatkowe źródło utrzymania. I ledwie zachowane szczątki własnej kultury – tradycji, duchowości, szamanizmu.

2.

W mroku szalaśu, tuż przed północą, czekamy na początek seansu. Niespełna 50-letni Gandzorig to najmłodszy wiekiem i stażem, ale i najaktywniejszy z czwórki caatańskich szamanów. Powoli rozkłada strój, buty z nogawicami, opaskę z czarnymi piórami. Wszystko wygląda jak na dawnych rycinach, choć sporządzone zostało dopiero przed trzema laty: rzeczy przechowywane są we wnętrzu dużego, głębokiego bębna (badacz nie może nie zauważyć z satysfakcją, że to typ prawidłowo „południowosajański” wg klasyfikacji Prokofiewej), strój z przodu imituje zbroję (poziome paski napierśnika), z tyłu obwieszony jest długimi wstążkami, z wyróżniającym się grubym węzem. Asystująca w całym seansie córka musi jeszcze poprzyszywać ostatnie żelazne przywieszki, które za każdym razem przed seansem trzeba z niewiadomych powodów zamocować na nowo. Na honorowym miejscu, naprzeciw wejścia, rozwiesza półmetrowy pas, obwieszony szmatkami i figurkami z materiału i skórek. To szamańskie świętości – onkony. Przygotował je starszy brat szamana Gost, sam do niedawna regularnie praktykujący; spotkanie z tą znakomitością miejscowego szamanizmu odłożymy na później.

Dochodzi północ. Córka zapala świeczkę i ustawia ją za zasłoną łóżka, co daje znakomity efekt scenograficzny. Zapada cisza, wszystkich ogarnia nastrój skupienia. Oprócz nas jest para młodych małżonków, która po cichu, w języku tuwijskim wyjaśnia powód swojego przybycia – zgadujemy, że chodzi o ich bezdzietność. Teraz ja powinienem przedstawić nasze życzenie – proszę, by udał się nam pobyt tu, byśmy pracowali z powodzeniem i pomyślnie wrócili do domu. Czuję się jak kolejny numer w długim szeregu europejskich badaczy Syberii, podróżników, zesańców, którzy tak samo wyrażoną motywacją musieli maskować ciekawość, która przywiodła ich tam, gdzie odbędzie się szamańskie misterium.

3.

W drogę po krainie Caatanów wyruszyliśmy w osiem koni: nasza czwórka (po dwóch badaczy polskich i mongolskich), dwóch przewodników i dwa konie juczne, obładowane jedzeniem dla nas i dla naszych gospodarzy, tak by nie zmuszać ich do zabijania

renów. Oprócz mąki, ryżu, konserw i herbaty w ceglach są jeszcze podarunki: latarki, świece, liny do wiązania renów, a przydałoby się też więcej lekarstw, buty dla dzieci, brezent na pokrycie szalaśów...

Jest październik, trzytysięczniki Sajarów na horyzoncie pokrył już śnieg, a temperatury – zwłaszcza nocą – są mocno ujemne. Konie ploszą się stąpając po złodzonych strumieniach, ale za to nie grzęzną w „czarnej wodzie”, która latem utrudnia poruszanie się po tajdze. Z pokonywanych żmudnie przełęczy rozciągają się widoki na zastygły, zamrożony pejzaż. Ani śladu człowieka – kilometry poźółkłej modrzewiowej tajgi, pokrywającej kopulaste szczyty i rozległe pustacie suchych, trawiastych dolin. Nawet meteoryt tunguski nie zrobiłby tu wrażenia.

Tajga ma jeszcze jeden kolor – czarny. To nie tylko efekt naturalnego czernienia kory modrzewia, nazywanego tu trafnie „czarnym drzewem”. W wielu miejscach widać martwe pogorzeliska – ślady po lokalnych pożarach od pioruna. Nasi przewodnicy wzorowo zabezpieczają pozostałości po ognisku, starannie okładając je taflami lodu z zamrożonego strumienia. Nic dziwnego – do walki z pożarem jest tu tylko jeden środek: zamawia się interwencję człowieka, który posiada magiczny kamień *dzada*, a jego wystawienie na powietrze sprowadza natychmiast deszcz. Szczególny to przedmiot – pochodzi z żołądka jelenia, jest więc szeptyfikowaną kulką zlizywanej sierści, zupełnie jak czarodziejski kamień *bezoar* w średniowiecznej tradycji europejskiej.

Skądinąd, za magiczną akcją przeciwpożarową płacą lokalne władze.

Z rzadka napotykamy znaki ludzkiej obecności: *owon* – sterta gałęzi z owiniętymi pasemkami włosów, wyrwanych z grzywy konia albo rena i śladami drobnych ofiar dla duchów tych miejsc; *chadag* – niebieska szarfa zawieszona na gałęzi na znak, że gdzieś w pobliżu zostały złożone na ziemi ludzkie zwłoki; końska czaszka przybita do drzewa, by nadal rodziły się dobre wierzchowce.

Tu i ówdzie widać, że niektóre szamanistyczne praktyki i wierzenia trwają nadal. Mijamy drzewa szamańskie, obwieszane wstążkami, przed które przychodzą z ofiarą ci, którzy mieli szamana w rodzinie. Widzimy renifery z kolorowymi wstążkami u szyi: to zwierzęta poświęcone, wyłączone z najcięższej eksploatacji, których nie wolno dosiadać kobietom. Wstążki – takie same jak te, które wiszą na honorowym miejscu w szalaśie, jako domowe świętości – są siedliskiem duchów opiekuńczych rodziny, a reny są ich nosicielami.

Napotykamy na swej drodze samotnego jeźdźcę z niewielkim ładunkiem. Wygląda dziwnie, jakby przynosił się tylko z częścią swego majątku. Wyjaśni się to, kiedy dotrzemy do obozu, z którego wyjechał. Wszyscy szykują się do jutrzejszych wspólnych przerosin na nowe miejsce, w pobliże zimowych pastwisk. Dzień przekoczowania musi być astrologicznie pomyślny dla

wszystkich – niełatwo go ustalić dla kilkunastu rodzin tego obozu. Prawie to się udaje, ale dla jednej rodziny jest to wciąż dzień niedobry. Pozostaje tylko rozwiązanie magiczne: trzeba innego dnia upozorować wyjazd, wysyłając przedstawiciela, a wtedy resztę rodziny można będzie niby nigdy nic przyłączyć do pozostałych.

Będziemy tu nocować. Jak zawsze gdy mieszkamy w czymś szałasie, nie wolno nam wrzucić do ognia ani kawałka papieru – byłaby to obraza domowego ogniska, powodująca u wszystkich wysypkę na twarzy. Możemy tylko bezradnie patrzeć, jak gospodynie wyrzucają na zewnątrz nasze czyste opakowania, które bez śladu spłonęłyby w ogniu. Tym przykrzejszy to widok, że w tych surowych warunkach będą zaśmiecać tajgę przez długie lata. Nieprzewidywalny konflikt postaw, racji i wartości Wschodu i Zachodu – równie może uzasadnionych, ale wzajemnie się wykluczających.

A gdy wreszcie kładziemy się spać, gospodarz zdejmuje ze ściany *ongony* – wstążki, małe futerka, żelazne przywieszki i figurki. Tłumaczy, że to dlatego, by duchy nie męczyły nas nocą, powodując złe sny.

4.

Gandzorig nakłada kostium, okurzając każdą jego część tłącą się gałązką wonnej tui (*arc*) i samemu wdychając dym. Próbuje bębna, najpierw cicho, spokojnie, twarzą do ognia pośrodku, a potem – odwróciwszy się tyłem do nas – zwraca się ku *ongonom*. Stojąc poważnie w tej pozycji będzie tańczył przez kilka godzin seansu.

Po kilku – sześciu, ośmiu – wstępnych minutach zaczynają się regularne uderzenia w bęben. Dwa rytmy będą rozbrzmiewać praktycznie bez przerwy, na przemian, w długich sekwencjach: szybkie serie jednostajnych uderzeń, po 160-180 na minutę – typowy transowy rytm szamański – oraz rytm parzysty: podwójne uderzenia, naśladujące tętent konia. I tak niezmiernie przez ponad dwie godziny – kiedy ręka zmęczy się uderzeniami w jednym rytmie, Gandzorig przechodzi na drugie tempo. Nuci coś cicho, głosem zmienionym, nienaturalnie płaczącym. Słowa są nieczytelne, a on sam nazajutrz nie będzie nam mógł ani chciał nic wyjaśnić. Czasem pokrzykuje, kuli się, zagarniającymi ruchami łapie coś do otwartego z jednej strony bębna. Świszczy i chrapie, jakby leciał w powietrzu jako ptak i rumak zarazem. Ten pozaziemski lot oddaje też biegiem w miejscu, dynamicznymi poruszeniami ciała, skokami obunóż. Po kwadransie od wejścia w trans przysiadła na mniej niż minutę, a córka podaje mu fajkę. Podczas następnych króciutkich przerw, w takich samych odstępach, lyknie herbaty albo zaciągnie się papierosem.

Mija sporo ponad pół godziny niezmiernie tańca, szaman wyraźnie traci panowanie nad ruchami; zaraz upadnie na plecy, ale siedzący nieopodal mężczyźni złapią go, ratując przed potłuczeniem o żelazo piecyka. Teraz, trzeba szczególnie uważać, by miotając

się i kręcąc szybko tułowiem w obie strony nie zaczęli długimi wstęgami o rurę komina. On sam nie kontroluje swych ruchów, bo wstępuje w niego najwyższy *ongon*, o którym wiadomo tylko to, że jest kobietą.

Jeden z widzów przywiązuje szamanowi do pleców białą wstęgę – *chadag*, dar mający zjednać życzliwość *ongona*. Może teraz odbędzie się rozmowa z duchem, z której wyniknie wróżba dla zgromadzonych? Nie, Gandzorig rzadko odwołuje się do tego sposobu. Poważnie wróży z położenia rzuconej kołatki do bębna. Rzuca ją każdemu ze zgromadzonych dwukrotnie: za pierwszym razem trzeba ją złapać w dłonie i oddać, mówiąc „wróżba!” (*torog!*) i kierując uchwyt w jego stronę; za drugim – nie dotykając, złapać w podolek ubioru, a on spojrzawszy na ułożenie pałki w dłuższych słowach zapewnia o pomyślnym wyniku.

Ongon opuszcza ciało szamana, a jednocześnie kończy się lot jego duszy. Obecni komentują, że teraz szaman „schodzi na ziemię”. Powoli uspokajają się, sam zdejmuje strój, choć mocno się przy tym zatacza. Jeden z mężczyzn zrobi mu krótki masaż, a syn wyprowadza go – rozebranego i rozgrzanego – na dwór, skąd wróci po paru minutach zupełnie odświeżony. Mówi, że nie chciał nas – cudzoziemców – męczyć zbyt długim seansem, który może trwać pięć godzin. Kiedy odchodzimy do swojego namiotu, jest prawie trzecia nad ranem.

5.

Dzień w szałasie zaczyna się zawsze tak samo – od przygotowania herbaty. Także i dziś budzi nas znajomy stukot: gospodyni zdiera stalowym dłutem sprasowane na cegłę liście, trzymane w skórzanym worku, potem rozbija je na proszek w drewnianej stępcie. Rozgrzewamy się nią, przemarznięci mimo ciepłych śpiworów i słuchamy, co mówią gospodarze: a to że dzieciom było w nocy tak gorąco, że wyszły spać na zewnątrz, na ziemi, a to że oni sami nigdy nie potrafiliby zasnąć w łóżku, w izbie, w mieście. No i że trzeba zabierać się do uboju.

Zabijanie renifera zaczyna się od uwiązania psów. Mała, ledwie pięcioletnia Budzen o wiecznie zdziwionej twarzy i jej starszy brat przywiązują do drzew parę kudłaczy, jeszcze pokrytych porannym szronem, żeby nie przeszkadzały. Gospodarz odprowadził już wybraną sztukę kilka metrów od stada. Ma ze sobą siekiere i długi bagnet własnej roboty – nieforemny kawałek żelaza w drewnianej pochwie. Posyła jeszcze córeczkę po swój przyboczny nóż, ten z przywieszką z kła dzika, który zawsze nosi u pasa, a teraz niby to przez zapomnienie zostawił w szałasie. Kiedy mała z nim wróci, będzie już po wszystkim. Uderzony obuchem topora w głowę ren zwali się na ziemię, by dostać bagnetem w szyję głębokie pchnięcie, skierowane w stronę serca. Leżąc na boku kopie nogami, naciskany stopniowo od zadu przez chłopaka, a ciemna, gęsta krew spływa do miski.

Mała patrzy, jak obaj mężczyźni rozrywają skórę: zaczynając od pęciny zdierają ją, przecinają powłoki

brzuszne, wyrzucają napelniony żołądek, odcinają wątroby i dają wszystkim zgromadzonym po kawałku ciepłego, słodkawego i nieco twardego mięsa. Psy spokojnie czekają na swoją porcję gorszych wnętrzności. Nie minie pół godziny, a na belkach składziku leży podzielone na części mięso całego renifera, a żebra i serce gotują się do szybkiego zjedzenia.

Decyzja o jego zabiciu nie przyszła łatwo. Stado nie ma nawet 30 sztuk, ale żona gospodarza jest bardzo słaba, miała niedawno poronienie, mięso powinno ją wzmocnić. Na pytanie, kiedy ostatnio zabijał rena, gospodarz wybucha gniewem. On rozumie, że zmniejszanie mizernego stada prowadzi donikąd, ale przecież muszą mieć co jeść.

To jest pierwszy wielki problem tych ludzi, dylemat – bić reny czy też nie bić. One stanowią podstawę ich utrzymania i nieprzypadkowo zapisane jest to już w mongolskiej nazwie grupy. Kilkusetosobowa społeczność caatańska ze swą specyficzną kulturą przetrwa pod warunkiem, że nie wybije do końca stada reniferów. Ich pogłowie od lat się zmniejsza, licząc obecnie ok. 700 sztuk, a brak świeżej krwi skazuje na chów wsobny i wszystkie jego negatywne konsekwencje.

A na dodatek stada są osłabione rabunkowym obcinaniem poroża. Odrastające corocznie rogi renifera są wiosną jeszcze miękkie, bo obficie ukrwione, i w takim stanie – podobnie jak słynne panty syberyjskiego jelenia plamistego – od wieków wykorzystywane w chińskiej, a od niedawna także w europejskiej medycynie. Z początkiem lata pojawiają się zatem w okolicy chińscy kupcy, którzy nie pogardzą też niedźwiedzimi skórami i niektórymi produktami tajgi, np. grzybami, a w zamian dają pieniądze, szybko przekładające się na wódkę. W tych warunkach pojawia się pokusa ponownego ścinania rogów odrastających jesienią, co wyjątkowo osłabia zwierzęta, prowadzi do zakażeń i degeneracji poroża. W efekcie coraz więcej jest w stadach takich zmarniałych sztuk – nasz Święty Mikołaj wstydziliby się użyć ich w swoim zaprzęgu.

Wszyscy to niby rozumieją, ale tak jakoś się składało, że w każdej odwiedzanej grupie szałasów natrafialiśmy na świeże mięso, a na głowach reniferów widać było krwawiące rany na miejscu rogów.

6.

Czy łaskawy Czytelnik pamięta tytułową postać syberyjskiego myśliwego z filmu Akiry Kurosawy, człowieka natury imieniem Dersu Uzała? Grał go Maksym Bułduk, aktor właśnie z Tuwy – krainy pasterzy leżącej trzy tysiące kilometrów na zachód od miejsca akcji. Teraz już mnie nie dziwi, że z fenomenalną naturalnością wcielił się w postać człowieka tajgi.

Caatanowie są mistrzami polowania. Młodzian ze strzelbą, który pogwizdując jedzie obok nas na reniferze, potrafi błyskawicznie zestrzelić siedzącą na gałęzi popielicę i w trakcie jazdy ściągnąć z niej lśniące, czarne futerko. Śmieje się, bo jest ono warte pięć tysięcy

tugrików (prawie pięć dolarów), a do tego będzie trochę mięsa. Kiedy spadnie taki śnieg, że nawet renifery będą się zapadać po brzuch, założy prymitywne narty własnej roboty – długie, szerokie i ciężkie modrzewiowe deski z rzemieniami, do których spodów przyklepił świeżo zdartą skórę renifera.

To urodzeni ludzie tajgi, i właśnie takim mianem – *tajgynchyn* – Caatanowie sami siebie nazywają najchętniej.

Przed wyjazdem mieszkańcy obozu idą pożegnać się ze świętą górą, której podziękują za pomyślnie spędzoną tu jesień. Nam nie wolno uczestniczyć w tym krótkim obrzędzie, ale po powrocie pokażą nam dziwne kamyczki, które stamtąd przynieśli. Gładkie, regularne, okrągłe, z jasnobrązowymi słojami, leżą tam podobno rozrzucone jakby w kamiennych misach. Góra lubi, gdy się je ze sobą zabiera, ale trzeba zostawić jej coś w zamian, choćby kawałek białego materiału. Ale złym ludziom daje swe kamyczki niechętnie – tylko te najmniejsze.

My pojedziemy swoją drogą. Stromymi podejściami osiągamy przełęcz tylko po to, by mozolnie sprowadzać płoszące się konie na dół. Przemierzamy kotliny zasłane skalnym rumoszem, miejsca tak dzikie i odludne, że jeśli gdzieś w Mongolii miałby żyć *almas* – tutejsza wersja yeti – to właśnie tutaj. Ale nasi gospodarze – choć opowiadają legendy o *almasie* – to nie wierzą w jego obecność. Bardziej boją się niedźwiedzia, który potrafi być śmiertelnie niebezpieczny – zwłaszcza jeśli lato nie obfitowało w jagody i mrówki, a on jest teraz głodny i nie może zasnąć na zimę.

Słuchamy opowieści człowieka, któremu całą rodzinę uśmiercił taki właśnie wygłodniały osobnik. Wróciwszy z żoną do szałasów, gdzie zostawili małe dziecko pod opieką babki, zastali pogryzione zwłoki obojga, rzucone wraz ze sprzętami domowymi na środek szałasów, do ognia, tak jakby niedźwiedź chciał wszystko spalić, zacierając ślady swego napadu. Widząc to żona dostała ataku serca; przeżyła go, ale nie wyszła z depresji, która po dwóch latach cierpienia doprowadziła ją do samobójstwa. Mężczyzna, który odtąd żyje samotnie, prosi nas na koniec spotkania o wpisanie się do zeszytu, w którym gromadzi nazwiska wszystkich, którzy go odwiedzili.

Dopiero po dłuższym pobycie zdradzono nam, że w powszechnym przekonaniu nieszczęście to musiał spowodować jakiś czarny szaman z Tuwy, który z nieznanых powodów nasłał niedźwiedzia. Bo przecież nie ma wytłumaczenia dla faktu, że zwierzę przeszło obojętnie obok innych, bliższych szałasów i że dokonało tak przemyślanej napaści.

7.

Szczerze podziwiam dawnych badaczy, którym udało się zebrać tyle materiałów na temat ezoterycznego szamanizmu. Umieli pokonać bariery obcości i dystans nieufności, potrafili zrozumieć enigmatyczne symbole, zrekonstruować panteon, nakreślić model świata.

Wśród Caatanów nie uda mi się tego zrobić. Tutejszy szamanizm pozostanie dla mnie nieprzenikniony. Nie umiem nawet odpowiedzieć na pytanie, na ile szamani odmawiając odpowiedzi ukrywają to, co musi być tabuizowane, na ile zaś dbają o aurę tajemniczości, tak potrzebną z komercyjnego punktu widzenia, a do tego maskują swoją niepełną znajomość tradycji.

Gandzorig nie pozwala się fotografować w czasie seansu (i ogranicza do czterech liczbę zdjęć, które możemy mu zrobić nazajutrz), nie chce rozmawiać o żadnych szczegółach kunsztu – o inicjacji, przebiegu nauki czy śpiewanych tekstach. Mówi, że te pieśni same do niego przychodzą, że poza seanssem wcale ich nie zna. Trochę boi się gniewu duchów, a jeszcze bardziej starszego brata, Gosta.

Gost niedawno przestał być szamanem – podejrzewam, że stracił wiarę, widząc jak ten kunszt pospolicieje. Jest surowy, mało mówny. Jeszcze przed paroma laty miał opinię „czarnego szamana” – takiego, który potrafi zaszkodzić nieprzyjaciółom, u którego można zamówić nawet śmiertcionośny urok. „Ongon już do niego nie przychodzi” – zdradza jego siostra. On sam nie chce o tym mówić; potępia szerzącą się wśród Mongołów komercjalizację szamanizmu w wersji popularnej. Po latach nielegalnego szamanienia, które przypłacił więzieniem, ma za duży respekt wobec duchów, by brać do ręki bęben, skoro nie wierzy już w skuteczność tego działania.

Nestorką caatańskich szamanów jest 98-letnia Sujaan. Wprawdzie nadal jeszcze nawleka igłę bez okularów, ale nie jest już w stanie – jak przed paroma laty – odbywać kilkugodzinnych seansów szamańskich, wymagających ustawicznego tańczenia, ekstatycznych podskoków, bicia w bęben, śpiewu i recytacji tekstów. „Moja głowa już nic nie pamięta, zapomniałam wszystkie modlitwy”.

Ale przed dwoma laty widok wiekowej Sujaan w starym prawie jak ona sama kostiumie, przygotowującej się do szamańskiego seansu – to było dla mnie spotkanie z innym światem. Czapka-pióropusz, długi chałat z brzękadłami, nogawice z naszytymi wyobrażeniami ptasich szponów, wielki bęben z zatartym wyobrażeniem ni to sylwetki ludzkiej, ni to drzewa – musiały gdzieś w ukryciu przetrwać minione lata. Starowinka z pomocą synowej z czcią okadziła wszystkie części kostiumu i bęben, a na *ongony* przyskała gałęzią jałowca, zanurzoną w ofiarnej herbacie z mlekiem. Z drewnianego pudełka wyjęła drumlę – żelazny instrument, który po przyłożeniu do ust, szarpany za języczek, wydaje cichy, wibrujący dźwięk. Głos instrumentu umożliwia duchom podróżowanie na dużą odległość, kiedy więc przybył duch główny, „pan *ongonów*”, można było odczytać wróżbę. Rzucona na ziemię drumla padła języczkiem do góry, i to nawet dwukrotnie. To był dobry znak.

Szamanika wstała, wzięła do ręki duży bęben, zrobiony dla niej, gdy jeszcze była młodą kobietą (koszto-

wał ją jednego rena), zaczęła lekko uderzać weń pałką i cicho nucić. Podrygiwała, obracała się raz i drugi, rytmicznie kręciła głową, tak że trzęsły się zasłaniające twarz frędzle.

Ale wiek ma swoje prawa; Sujaan już nie wykonała obrzędu w pełnej postaci. Skończyła szybko, kropiąc herbatą przed szalasem i przez jego górny otwór – dla okolicznych duchów.

Jej córka, dobrodusznym niewidoma Cend, urządza prawdziwy seans szamański tylko raz na kwartał, ale chętnie powróży, czy uda się nam podróż powrotna. Wróżbę odczytuje z 41 kamieni, które rozkłada kolejno na kupki – tak jak to robią wróżbici w całej Azji Centralnej. Bierze je w dłonie i w modlitewnym geście przykładając na długą chwilę do twarzy, potem wielokrotnie rozkłada je w kupki (w trzech rzędach, po trzy kupki w każdym), zgarnia ponownie i znów układa. Padają słowa przepowiedni: „wasze nogi są lekkie, po drodze nie ma nic złego, osobisty los każdego z was jest pomyślny”, tyle że – jak na końcu wyczytuje – wracając, powinniśmy unikać samotnej jurty, inaczej bowiem czeka nas „mała przeszkoda”. Jej syn, patrzący na przebieg wróżby i układ kamieni, potwierdza tę przestrożę.

A my, niebaczni wróżby, wstąpiliśmy w drogę powrotną na obiad do jakiejś samotnej jurty. I rzeczywiście, w parę godzin później, tuż przed wjazdem do miasta, nasz gazik zatrzymuje milicja. Wychodzi na jaw, że kierowca jeździ bez prawa jazdy. Okazuje się też, że gdybyśmy byli tu trochę wcześniej, oszczędzilibyśmy sobie sporo kłopotów.

Wróżby mogą być mniej lub bardziej przyziemne, ale szamański seans nie ma – wbrew pozorom – charakteru wyłącznie usługowego. Ku mojemu zaskoczeniu rysuje się taka oto prawidłowość, rządząca praktyką starych caatańskich szamanów. Żaden z nich nie szamanil na zamówienie, lecz jedynie w ściśle określonych dniach, kilka razy w roku. Nawet chorzy, przychodzący po wyleczenie, musieli podobno czekać na ów dzień – seans w ich intencji może się zresztą odbyć pod ich nieobecność. Córka Gandzoriga w tajemnicy przed ojcem objaśnia, że kiedy przychodzą do niego duchy, to pytają, dlaczego je wzywał i mogą go ukarać za przywoływanie ich z błahego powodu.

Wiadomości te przeczą mojemu dotychczasowemu wyobrażeniu o szamanizmie jako praktyce interwencyjnej, nastawionej na doraźną pomoc zgłaszającemu się z potrzebą duchową, psychiczną czy niedyspozycją fizyczną. Nie potrafię ich ostatecznie zweryfikować – godzę się z myślą, że przy intensywnych badaniach w małej społeczności, gdzie liczba rozmówców jest niewielka i każdy przedstawia swój własny, powikłany los, trudno o pewne, sprawdzone uogólnienia. Nie będzie efektywnych tez, diagnoz na temat trendów, łatwych generalizacji. Cend, Gost, Sandzin, Bajaraa, Ganbat i inni to konkretne osoby, prezentujące swoje indywidualne doświadczenia, wiedzę i opinie, a także niewie-

dzę, zapomnienie i zwątpienie, które dokładają się tylko do moich pytań i wątpliwości.

8.

Ludzi tajgi nie jest wielu. Renifery hoduje w górach niespełna 40 rodzin, kilkanaście przechodzi stopniowo na pasterstwo w stylu mongolskim: schodzą do Kotliny, gdzie zamiast chorowitych renów hodują odporniejsze bydło i owce, przenoszą się z szałasów do ciepłych, wojłokowych jurt. Młodzi biorą za żony mongolskie dziewczyny. Dopływ nowej krwi cieszy rodziców, ale prawda jest taka, że synowe tylko czekają, kiedy będą mogły wrócić z mężami do swoich.

Oglądamy zdjęcia z niedawnego wesela takiej mieszanej pary, jednocześnie prowadząc etnograficzny wywiad. Odbywa się ono w szałasie, świeżo postawionym dla pary młodej, ale ceremonie są żywcem wzięte z mongolskiej jurty i generalnie zapożyczone z tamtej kultury. Dziewczyna wjeżdża konno na biały wojłok, rozścielony przed wejściem, gdzie matka męża wita ją kropiąc mleko. Podstawowym daniem uczy jest mięso baranie, którego konkretne porcje podawane są w zgodzie z ceremonialnym kodem, określającym kto co dostaje. Symboliczny sprawdzian dziewczyny polega na tym, że musi samodzielnie przygotować „herbatę panny młodej”: rozpalić ogień, utłuc herbatę w stępcę, przyrządzić ją z mlekiem, masłem i solą, a potem rozdać wszystkim gościom. W kulminującym momencie dostaje do rąk sznur, który gwarantuje pomysłność domostwa, stanowiąc „wodze jurty”, a tu jest sztucznie doczepiony do szałas. I tak, krok po kroku, dokonuje się proces, w którego efekcie Caatanowie nie tylko mówią po mongolsku, ale też przechodzą na mongolski język symboliczny.

I to jest drugi wielki problem Caatanów – zachowanie odrębności językowej i własnej etnicznej tożsamości. Nie mając kontaktu z Tuwą, przechodzą powoli, nawet w gronie rodziny, na mongolski – język szkoły i oficjalnej komunikacji. Nie ma wśród nich elity, autorytetów, liderów, którzy dbaliby o utrzymanie resztek tradycji i samoidentyfikacji. Słabnie świadomość etnicznej odrębności. Wiedzą, że są Tuwijczykami, ale przecież prawdziwi Tuwa są tam, za granicą; kiedy samych siebie nazywają „ludźmi tajgi”, to w ten sposób, bez używania

nazw etnicznych, przeciwstawiają się wszystkim żyjącym w Kotlinie „ludziom rzeki”, *gołynchyn*.

Pozrywały się związki z krewniakami w Tuwie. Od dziesięciu lat nie ma kontaktów lokalnych, granica jest szczelnie zamknięta. Zaprzestano akcji wymieniań reniferów, ustał dopływ nowej krwi, a dotyczy to tak samo zwierząt, jak ludzi. Górskie, przygraniczne odludzia to nie są okolice bezpieczne. Zdarzają się wyprawy rabunkowe spoza kordonu – zdesperowani pokolchozowi pasterze, pozostawieni sami sobie, muszą jako zdobywać konie i bydło. A parę lat temu mówiło się po cichu (wtajemniczeni powoływali się nawet na raporty amerykańskiego Departamentu Stanu), że przez Tuwę idzie przemyt rosyjskiej broni do muzułmańskich Ujgurów w chińskim Sinkiang.

Mimo że reny wymagają pastwisk górskich, bo w dolinach chorują, a do tego częściej padają łupem wilków, tutejsze strategie przetrwania siłą rzeczy prowadzą ludzi tajgi na dół. Coraz silniej będzie działać obecność zachodnich turystów, docierających tu czasem za sprawą biur podróży z Ulan-Bator, a nie wszyscy z nich mają czas na długą drogę w góry. Niekiedy przybywa jakaś zagraniczna akcja charytatywna z żywnością. Świat zaczyna rozumieć, że konieczna jest choćby skromna pomoc, by ta mała grupka ludzi swą odmiennością nadal wzbogacała paletę jego barw. Nie trzeba przecież wiele – trochę mąki, by nie zabijali renów, brezent na szałas, by nie uciekali do jurt i drewnianych domków w osadach, weterynaryjne wsparcie w odbudowie stada.

Może, paradoksalnie, to właśnie przybysze z zewnątrz – badacze, podróżnicy, turyści – są ostatnią szansą ludzi tajgi na zachowanie własnej kultury? Któż inny przekona Caatanów, że opłaca się zachować niektóre elementy dotychczasowego stylu życia – szałas, reny, szamanizm? I kto – działając w drugą stronę – zanieśie w świat Zachodu komunikat, że skoro już mamy taki kaprys, by zobaczyć ludzi idących ścieżką kultury tak trudną i odmienną od naszej, to wszyscy powinniśmy ich w tym wesprzeć.

Przypisy

¹ J. S. Wasilewski, *Podróże do piekiel. Rzecz o szamańskich misteriach*, Warszawa 1979, s. 5